DOM POLSKI

PISMO BELETRYSTYCZNE I NAUKOWE

wychodzi w Poznaniu 1, 10 i 20 każdego miesiąca.

Rok II. — Poznań, 10 czerwca 1889 r. — Nr. 17.

Prenumerata roczna wynosi 8 m., półroczna 4 m., ćwierćroczna 2 m. tak dla miejscowych, jak zamiejscowych przedpłacicieli krajowych; dla Galicyi 5 złr. rocznie, 1 złr. 25 cent. ćwierćrocznie z przesłaniem exemplarza na miejsce. — Miejscowi przedpłaciciele, odbierający „Dom polski“ w redakcyi, płacą tylko 1,50 mrk. — Zapisywać można na wszystkich pocztach krajowych, a w Poznaniu w redakcyi, ulica Wiedeńska, nr. 5, II. piętro. — Przedpłatę ćwierćroczną przyjmuje każda poczta; półroczną, lub roczną tylko redakcya. — Inseraty przyjmują się za opłatą 20 fen. od wiersza jednołamowego. — Pojedyńczy numer „Domu pol.“ kosztuje 40 f.
Drukowanych rękopisów nie zwraca redakcya.

WSPOMNIENIE.

Przez **S. W.**

(Dokończenie.)

XVIII.

Ach! czy wam znane są ducha boleści
I skale uczuć, które serce pieści?
Czy znacie nici marzeń, które złota
Miłości prządka na swój kłębek mota?
Słodkich to wspomnień ach! gorżkie trucizny....
Więc nie draźnijcie serca mego blizny,
Lecz nie! — dla większej trzeba mi pokuty
Wyśpiewać wszystkie akordy tej nuty.

XIX.

Blado w kominku gorzało łuczywo,
Matka kończyła zajęcie swe żywo,
On właśnie zaczął jakąś piosnkę śliczną;
Ja, odurzona wonią narkotyczną
Słów jego słodkich, patrzałam w gwiazd krocie
I w siny błękit, kąpiący się w złocie.
Wtem pies zaszczekał. On urwał piosenkę,
Matce niepokój tak zbezwładnił rękę,
Że upuściła wrzeciono furczące;
Jakoż za chwilę w kawałków tysiące
Nić potargała i jękła, padając....
On wyszedł — z listem po chwili wracając,
Rzekł: „Ojciec chory, muszę jechać zaraz.“
Tyle mi uczuć wcisnęło się naraz
W pierś rozbolałą, że ledwo dwa słowa:
„Bądź zdrów!“ — wyjękłam — „Najdroższa, bądź zdrowa,
Wrócę, jak można najprędzej!“ — „Pisz przecie“
Dodała matka; biednej tej kobiecie
Minionych nieszczęść cały ogrom czarny
Głowę przytłoczył, niby głaz cmentarny.
Jednak na czoło kładła mu krzyż mężnie,
(Wierząc pozornie, że prędko powróci)
Tak, jak przystało legendowej księżnie,
O której gęślarz na odpuście nuci.
Wyleciał, jakby z Dawidowej procy,
Od ukochanych osób zaraz w nocy.
Gdy ojciec chory, nikt go nie przywoła....
Chato, straciłaś swojego anioła!
A my — w ciernistej drodze przewodnika,
Ach! dotąd słyszę ten odgłos złowrogi,
Gdy matka za nim drzwi domu zamyka,
Jakby miał więcej nie wrócić w te progi!
Pojechał. — W tydzień list z poczty nam dano
Z czarną pieczęcią. Wiedziałam, co w liście.
Istotnie — ręką obcą tam pisano
(Same nowiny smutne oczywiście)
O śmierci ojca i jego chorobie....
Ileśmy zniosły w owej strasznej dobie,
Trudno opisać. Od świtu do zmroku
W tumany kurzu, ginące w obłoku,
Jak w barwną tęczę, lub w obrazy święte
Patrzym na drodze, boleścią przejęte.
I gdyby wówczas żórawie zbłąkane,
Wiodące w zachód swoję karawanę,
Ujrzały matkę, lub mnie w progu chaty,
Pewnieby wzięły nas za swoje czaty,
Tylko czujniejsze i bardziej tęschniące! —
Przeminął miesiąc, ubiegły miesiące,
Dzień za dniem równą sunął się koleją
I przyszła zima z śniegiem i zawieją.
Pytam: „Słyszałaś co przypadkiem, mamo,
O nim?“ — A matka pyta mnie tak samo.
I wciąż w powietrzu wisi jego imie,
A my nie wiemy nic — kwiat zamarł w zimie
Zbudzi się znowu, gdy śniegi stopnieją —
Myślimy, ciesząc się jeszcze nadzieją.

XX.

Na szmaragdowej polance pierwiosnki
Już kraszą ziemię. Ptaszęta swe piosnki

Od dawna nucą, lepiąc gniazdka żywo;
Matka skończyła wszystko swe przędziwo,
Bogate wiano jedynaczce lubej
Przysposobiła ... Nie ma naszej zguby!
Nie mamy nawet żadnej o niej wieści. —
Rankiem otwieram okno, wiatr szeleści
I gra w nadbrzeżnej trzcinie piosnkę jego —
Pytam go drżąca: „Ty wiejesz od niego?
Powiedz, ach! powiedz: żyjeż, czy nie żyje?“
A wtem na drzewie kotek łapki myje:
„To on przyjedzie, mateczko najdroższa!“
Wołam, jak dziecię, klaszcząc w obie dłonie.
Mówią, że pewność lepsza, choć najsroższa,
Niźli niepewność. Nie! — choć blado płonie
Na horyzoncie gwiazdeczka nadziei —
Jest, jak kwiat wonny w ciernistej alei
Naszego życia. To też Boga proszę,
Jeśli nie dla mnie są tutaj rozkosze,
By mi podpory tej nie wziął żywota
Pierwej, nim wieczne otworzy mi wrota.

XXI.

Pełzać po ziemi — to płazów nawyczka;
Zbierać skwapliwie kamyk do kamyczka
Na pomnik własnej próżności i dumie —
To lada dzieciak rozpieszczony umie.
Lecz wznieść się wyżej, nad ziemskie przykrości,
Łechcące słówko „ja“ stopić w nicości,
Z śmiechem na ustach, z rozjaśnionem czołem
Przejść żywot, który zwą płaczu padołem,
I patrząc w gwiazdy, błyszczące w lazurze,
Dla bliźnich zrywać najpiękniejsze róże,
Choć kolce miękką dłoń do krwi rozorzą —
Nie każdy umie. — Komu wolą Bożą
Stopniała wiosna życia, jako woski
W promieniach słońca bez burzy i troski,
Ten, jak mi matka mówi od kołyski,
Winien znieść losu kapryśne pociski,
I w szczęście wierzyć niezmiennie i stale.
Toż nie narzekam, ani się nie żalę,
A choć mi czasem tak rzewnie i smutno,
Że mi się zdaje, iż się dusza w płótno
Przeobraziła, i na niej hafciarka
Stępiałą igłą wszywa głogu ziarka —
Czekam, aż wszystkie te ciernie pokruszy
Los — i znów spokój zwróci mojej duszy.
Słowa mej matki cucą mnie łagodne:
„Dziecię, daj grochu gołębiom, bo głodne;
Nasyp wiewiórce orzechów do sytu,
A rybkom przynieś świeżą różdżkę situ,
Aby cień miały.“ Podobne robótki
Daleko gonią wszystkie moje smutki.
Myśl przeistacza się w słowo donośne:
On przyjdzie! — słyszę jego kroki głośne
Tuż! tuż! tuż!... tętęt coraz się już zbliża,
Już coś przemknęło właśnie koło krzyża —
To on zapewne. Nie! — rządzca z folwarku
Popędza konie, wracając z jarmarku.
A za nim wlecze się z wolna, zdaleka
Ledwo okryty łachmanem kaleka.
Wyjdę do niego, nakarmię, napoję,
I tak rozpierzchną się marzenia moje.

XXII.

Frunął, jak ptaszę, nie zostawił piórka,
A tęschni za nim i matka i córka
I modre kwiatki, zdobiące krynicę,
I w głębiach wody senne topielice,
I ksiądz staruszek z obluszczonej skały
I z błękitniącej fali łabędź biały.
I gdy mnie tutaj tęschnota opada
Wespoł z przyjacioł moich wiernem gronem,
On może innej miłość u stóp składa!...
Ale co zrobi z pierścieniem, włożonym
W obliczu Maryi na palec przez księdza?
Wszak go nie rzuci? — Pewność ta rozpędza
Wszelką wątpliwość o jego stałości
Z serca na zawsze, a mojej miłości
I wtedy nawet nie spadną zeń sploty,
Gdyby od siebie rzucił pierścień złoty.
Ach! cóż? — uczepię się dni moich wianka
Najpiękniejszego — i każdego ranka,
Nim oczy ze snu świeżą wodą zmyję,
Sercem obejmę te wszystkie lilije,
Róże, konwalie, jaśminy, stokrocie,
Co mnie kąpały w swem najszczerszem złocie. —
Czas, ten okrutnik, barwy im nie skradnie,
Bo skryte będą w sercu mojem na dnie!
A gdy złośliwi w mojem sztucznem szczęściu
Znajdą igraszkę: „Nie marz o zamęźciu —
Powiedzą — on się właśnie teraz żeni“ —
Wysłucham, lecz twarz mi się nie zrumieni
Ani ze wstydu, ani też z wzruszenia:
Bo czyliż plotka cel życia odmienia?
Więc nigdy mowie takiej nie uwierzę,
Bom z duchem jego zawarła przymierze,
Natomiast ciągle wierzyć będę śmiele,
Że się w niebiańskim złączymy kościele....
Strumyku, druhu, ty się śmiejesz ze mnie?
Szydzisz, że czekam na niego daremnie?
Może daremnie — ale nie, o! Boże,
On wróci! słyszę głos jego tam — w borze....

XXIII.

Kłamne me słowa o szczęściu, weselu —
Żyję, bo żyję, lecz — zda się — bez celu.
Trochę spokoju długą matki pracą
Wkradło się w duszę, ale nie wiem, na co?
W prawdzie nadzieja, że on może wróci,
Czasem mię cieszy, częściej jednak smuci,
Częściej mej duszy dorzuca męczarni
Mara mogiły wśród zielonej darni,
Która nie pyta o cele, o lata
Swojej ofiary. Częściej mnie oplata
Nieznana rozpacz, choć serce me z lodu. —
Ptaszki, wiewiorki ochraniam od głodu,
Pieszczę dzieciny, mówię pacierz z niemi,
A myśli lecą drogami mglistemi
Aż w jego szlaki, do jego przystani.
O! wiem, że myśli tych sam Bóg nie zgani.
Ja go tak kocham.... ach! on wróci pewno,
Wesprze mnie silnie, jak trzciną powiewną,
Odrzuci smutek, co mnie strasznie dławi,
A Stwórca z nieba nam pobłogosławi,
On, który jeden cuda zdziałać może —
Toż Tobie cała oddaję się, Boże!

KONIEC.

Nad morzem.

Powieść z życia Duńczyków.

Przez

K. F. Schroetera.

Z niemieckiego języka tłomaczyła Helena Neyman.

(Ciąg dalszy.)

Tak więc od pierwszego dnia stali się przyjaciołmi. Dwa razy tygodniowo schadzali się na swobodną pogadankę w publicznym ogrodzie Ringsborga; jeżeli pogoda nie sprzyjała, przychodził Fryderyk do Porthonów, aby pogawędzić serdecznie. Aurora okazała się bardzo oczytaną; niezwykle żywa wyobraźnia, bystrość poglądów, trafność zdania, zajęcie się ostatniemi prądy w literaturze, wszystko to zlewało się harmonijnie w umyśle dziewczęcia i budziło podziw w młodym poecie.

Raz zadał jej otwarcie pytanie, skąd pochodzi, iż ona zupełnie jest inną kobietą, niż jej towarzyszki, które także poznał.

— To spadek duchowy — lecz... prawda, pan nie wiesz, że matka moja była Włoszką.

Ojciec Aurory sposępniał! Po raz to pierwszy młodzieńcze jego wspomnienia na obcych ludzi widok wystawione zostały. A jednak, gdy się córka oddaliła, aby dopomodz starej Krystynie, począł historyą swego życia młodemu opowiadać redaktorowi.

— Było nas trzech: młody malarz, Niemiec rodem, syn bogatego, angielskiego kupca — i ja. Pryncypał mój, właściciel bogatego domu handlowego, wysłał mnie dla ukończenia nauki do Włoch.

Pewnego wiosennego ranka, pięknego, jak jedynie we Włoszech poranki być mogą, wybraliśmy się zwiedzić miasteczko maleńkie, nad morskiem leżące wybrzeżem. Modre niebo nad nami, wkoło cudowna roślinność, nieznana naszym okolicom, dziwnym poiły nas urokiem. Malarz dostrzegł niezadługo coś rzeczywiście idealnego. Portowa ta mieścina, wsunięta jakby półwyspem w morze, niezwykły dla poetycznej duszy miała powab.

Angielski kupiec tylko pozostał obojętnym, chociaż mu malarz z zapałem coraz nowe odsłaniał strony piękna.

Nagle, jakby czarodziejską wywołane rożdżką, oczom naszym śliczne ukazało się dziewczę. Wielkie, ciemne oczy zdawały się z niewypowiedzianym smutkiem patrzeć przed siebie.

— Słuchaj, mała, zawołał malarz, ręką grupę maleńkich wysepek wskazując, czy nie chciałabyś nam służyć za przewodniczkę?

Spotkał nas wzrok pełen zadziwienia z jej strony. Mnie wyraz oczu jej padł od razu na duszę.

— Chciałbym cię odmalować, piękne dziewczę, odezwał się po chwili malarz, a nie będzie to bynajmniej z twoją szkodą. Nie mogłabyś mi z kwadrans pozować, usiadłszy na tej skale?

Znów głębokie spojrzenie wysłały ku nam smutne oczy, i usiadła milcząca na wskazanem sobie miejscu.

Malarz uchwycił jej postać kilku zręcznemi pociągnięciami ołówka.

— Jak ci imie, mała, zapytał.

— Aurora.

— Aurora!... to rzadko piękne imie; wiesz, że jesteś rzeczywiście śliczną?

Powstał i poszedł ku niej.

— Tak piękną, iż chętnie pojąłbym cię za żonę!

— Byłem zdumiony szybkością postanowienia bezwzględnie na wszelkie światowe konwenanse.

Piękną była Aurora — ale... ale...

— Zabiorę cię ze sobą do odwiecznego miasta, do Rzymu, do Wenecyi, szeptał jej młody malarz, ponad brzegi ślicznego Renu, och! będziemy bardzo szczęśliwi. Wyciągnął do niej ramiona, lecz Aurora, dostrzegłszy ruch ten, zerwała się ze skały. W oczach jej była błyskawica, lecz wyrazy cicho i łagodnie z ust jej płynęły:

— Miałażbym stracić morze i ojczyznę swoję?

— Zamiast dzikiego, szalejącego morza cudowną zobaczysz rzekę, ktorej majestatyczne brzegi, zasiane ruinami starych zamków, czarodziejską przeszłość przypominać ci będą.

— Ja ciebie nie chcę.

Słowa te wymówiła nagle i jakaś boleść zadrgała w jej głosie.

— Rozumiem, odezwałem się do niej, bom i ja nad morskiem wychowany brzegiem. Lecz tam, gdzie moja ojczyzna, bałwany morza jeszcze głośniej szumią, jeszcze straszliwszym jest ich majestat. Chodź ze mną, Auroro, chodź ze mną, wołałem, i tam są złote słońca promienie, i tam dni piękne, urocze. I cóż nas obchodzą wichry i burze, i te walki żywiołów! My sobie stworzymy szczęście w miłości, gdy serca nasze w takt jeden zabiją. Pójdź ze mną, Auroro!...

Z oczu jej strzeliły płomienie, zdawała się gorąco słów moich odczuwać, zdawała się niemi upajać.

— O! pójdę, pójdę...

Objąłem wysmukłą jej postać i uniosłem z sobą. Trzeba jej było ojczyznę pożegnać, lecz pożegnanie to nie uczyniło jej wielkiej trudności; biedną, samotną sierotą była ubóstwiona, ukochana moja! Opuściliśmy niezwłocznie tę okolicę, a w trzy dni potem złączył kapłan nasze dłonie.

A teraz do morza — do morza!

Późne już było lato, gdym ją do swego wprowadził domu. Majestatyczna powaga północnych okolic niezwykłe na niej uczyniła wrażenie. Zdawało nam się, iż słońca promień blady dla nas tylko przyświeca i wiecznie przyświecać będzie, żadnego na życia drogę nie roztaczając cienia. W pożyciu towarzyskiem naturalnym wdziękiem i niezwykłą pięknością podbiła Aurora wszystkich serca — nie było nikogo, ktoby czarom jej nie był uległ.

A jednak nade wszystko lubiła samotność i morze!

Z ogrodu naszego roztaczał się widok wspaniały na morskie wybrzeże. Tam siadywała całemi godzinami, z oczyma utkwionemi w bijące bałwany, wsłuchana w tę odwieczną, potężną pieśń morskiej fali. Myślą zwracała się nieraz zapewne do słonecznej swojej ojczyzny. Czyż żałowała jej kiedy?... Nigdy skarga tęschnoty nie powstała na ustach jej, a miłość nasza z dniem każdym nowej zdawała się nabierać siły.

W rok potem niebo obdarzyło nas córeczką ... i nie wiem, czy czarę szczęścia wypiliśmy do dna, czy los był na nas zazdrosnym!

Nie zapomnę nigdy, o! nigdy tej chwili... Żadna skarga nie wybiegła z ust jej, dziwną moc czysta zachowała jej dusza, gdy spostrzegła, że życie niknąć poczyna.

Białemi rączkami objęła szyję moję. Miłość do męża, do dziecięcia straszną w głębi jej duszy zdawała się toczyć walkę — lecz śmierć okrutna nie miała litości.

— Moje dziecię, nasze dziecię... mężu mój... zawołała z niewysławioną boleścią, o! bądźcie szczęśliwi... i już jej nie było. Nad brzegiem pochowałem ją morza, jak to zawsze było jej życzeniem. Chciała i w grobie słyszeć morskie szumy, chciała, by pieśń ich do snu ją wiecznego kołysała, dopóki z Bożej tam woli nie zbudzi ją do trwałego w niebie połączenia z ukochanymi.

Gdzie ona spoczywa, pluszczą — zda się — silniejszym przypływem fale, i rozbrzmiewają pieśnią niegdyś ponad wszystko jej drogą.

O! potężna to pieśń, pieśń północnego morza; czasami dzika, straszna i ponura, to znów majestatyczna w swojej potędze, a przytem tkliwa, gorąca, płomienna — jak było jej serce.

* * *

Fryderyk odszedł z nową siłą w duszy — uczuł, że go wewnętrzna konieczność zmusza do tworzenia.

Historya ta zdawała się bliżej go łączyć z Porthonów rodziną. Czuł jakieś nieokreślone dla Aurory współczucie, coś, co go do niej coraz więcej zbliżało. I jak motyl krąży około świecy, dopoki nie legnie z opalonemi skrzydłami, tak on dnia jednego nie mógł już żyć bez niej.

Nieraz długie sam na sam odbywali przechadzki — lecz ktożby stąd śmiał choć jednem znieważyć ją podejrzeniem?... on ją kochał nad życie — więc była dlań świętą, niepokalaną.

On, pracownik „Wieczornej gazety!“ — Nie on nie potrzebuje już dbać o względy czytelników tejże gazety, jedna istota rozumie go dokładnie, jedna ocenić go zdołała, jedna tylko — Aurora.

Czyż ona nie posiada dlań większego znaczenia, nad tych 2000 zimnych, obojętnych abonentów? Aurora — to jego swietlana jutrzenka — czyż on może dziś wątpić o szczęściu?... O! on już nie wątpi, a jednak silny ten człowiek załkał boleśnie!

Nie! ona za dobra, za jasna, za słoneczna na ciężki życia trud — to niemożebne. Lecz czemuż znowu głos inny w duszy się odzywa?... Dwa sprzeczne głosy odzywały się w piersi poety zaledwie odczuwanym echem, aż w jeden rzewny zlały się akord pieśni:

W porannej ciszy świat ten spoczywa,
Żaden się w dali głos nie odzywa,
Mej duszy tylko zabrakło ciszy,
Mój duch spokoju dotąd nie słyszy.

W niej jakby świeże słońca promienie
Rozproszyć chciały cierpień wspomnienie,
I ponad wszystkie kosztowne dary
Szczęścia, spokoju podały czary.

Nie chcę nic więcej, lecz tylko ciebie,
Promienna gwiazdo na mojem niebie,
Lecz szczęścia swego nie trzymam w dłoni,
Ono zazdrośnie ode mnie stroni.

Śpiewem anielskim brzmią mi te głosy,
Płynące z serca w modre niebiosy,
Zda się, iż cudne zaseła pienia
Natura Stwórcy — milkną cierpienia,
Duch mimowoli klęka w pokorze,
Przeczuwa szczęścia świetlane zorze.

Zwalczyłem życia mętne ułudy,
I dziś w nagrodę za ciężkie trudy
Rozkoszy pragnę czary.
Dzwon Wielkiejnocy pieśń wiary nuci,
Dźwięk zmartwychwstania ufność ocuci,
Rozproszy zwątpień mary.

Już się nie waham, bo przecież może
Dasz zwalczyć trwogę, odwieczny Boże,
Czarownie dasz mi śnić!
Głos pozdrowienia niosą mi dzwony,
Głos wszechpotężny na wszystkie strony:
Och! możesz w szczęściu żyć.

Cudnym snem było wszystko dokoła w marzeniu poety i mimowoli ulegał wpływom wewnętrznym, których na razie nie pojmował nawet.

Ktoś do drzwi zapukał — to korektor po poemat przyobiecany się zgłosił, a odebrawszy go z rąk milczącego Fryderyka, oddalił się pospiesznie. Młodzieniec znów w myślach utonął! Aurora go będzie czytała, ona pojmie, zrozumie, z czego się tam dusza poety spowiada.

Wyszedł z domu i zwrócił kroki swoje w stronę mieszkania Porthonów. O! jakże chętnie byłby tam wszedł, o! jakże chętnie byłby dzisiaj wszystkie wrażenia swej duszy ukochanemu odkrył dziewczęciu. Lecz w oknach było ciemno.

Rozmarzony, z nową niepojętą i nieznaną mu dawniej siłą, jakby w przeczuciu szczęścia, rzucił się na łóżko.

* * *

Poranek Wielkiejnocny! — Jasno i pięknie zaczęło słońce wschodzić na niebie. Fryderyk ubrał się starannie i zwrócił w stronę domu Porthonów. We drzwiach przywitała go stara Krystyna trwożnem, pełnem niepokoju spojrzeniem. Czyżby zajść miało jakie nieszczęście? — jaki przypadek, będący w związku z Aurorą? zapytał o nią.

— Już nie śpi — odpowiedziano mu.

Fryderyk odetchnął swobodnie, piersią całą. Trwoga, która go ogarnęła, przekonała równocześnie o całym ogromie miłości do Aurory.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

SPRAWA
wprowadzenia języka rosyjskiego
do nabożeństwa
obrządku rzymsko-katolickiego.

Sprawa powyższa ma już swoję historyą. Niejednokrotnie poruszana, dziś — zdaje się przynajmniej — na czas długi pogrzebioną została. Pogrzebanie to zawdzięczamy głównie Rosyanom, nawróconym na katolicyzm, O. Martinowowi i księciu Gagarinowi.

Dla nieznających dokładnie stosunków miejscowych cudzoziemców, do liczby których papieży takie zaliczyć należy, sprawą wprowadzenia rosyjskiego języka dla katolików rosyjskich zdaje się rzeczą bardzo prostą i naturalną. Aby przekonać, że tak nie jest, O. Martinow musiał posługiwać się całym zasobem wiedzy z dziedziny historyi, etnografii i statystyki. Dowodził on, że o narodowości nie stanowi ani język, ani pochodzenie etnograficzne nawet, tylko wspólność pojęć i ideałów. Przykładem Irlandyi i Alzacyi dał świadectwo temu twierdzeniu „Anglicy, pisał, woleliby może, aby Irlandczycy nie znali tak dobrze angielskiego języka, w którym potrafią doskonale wyrażać swą nienawiść i dopominać się o swe prawa.“

Dalej O. Martinow objaśnił, że język białoruski i małoruski nie jest tym językiem, który rząd rosyjski pragnie do kościoła rzymsko-katolickiego wprowadzić, a który niemniej od nich się różni, jak wszystkie inne narzecza

słowiańskie, czeskie, serbskie, słowackie; liczba zaś ludzi, mówiących językiem urzędowym, w krajach południowo-zachodnich jest bardzo nieznaczną w stosunku do ludności białoruskiej, małoruskiej, litewskiej, polskiej, żydowskiej i tatarskiej.

W końcu autor rozprawy usiłuje przekonać, że utrwalony od wieków zwyczaj ma swoje znaczenie i kościół nie zwykł go bez bardzo ważnych powodów naruszać, a katolicy krajów południowo-zachodnich nawykli do języka polskiego w nabożeństwie od kilku wieków, i zmianę przyjęliby z wielką trudnością.

Nie ukrywał także O. Martinow, że społeczeństwo katolickie nie ma zaufania w rządzie rosyjskim, czemu dziwić się nie można po wypadkach z unitami i po różnych okolicznościach, nieświadczących bynajmniej o przychylnem usposobienia tegoż rządu dla kościoła rzymsko-katolickiego.

Książę Gagarin w swoich listach do ks. Wołkońskiego też same mniej więcej przytacza powody, dla których Rzym nie może przychylić się do życzeń rządu rosyjskiego. Dodaje jeszcze, że sprawę wprowadzenia rosyjskiego języka do nabożeństw katolickich zohydzili kapłani tacy, jak ks. Żyliński, Tupalski i inni, których charakter osobisty i życie prywatne rzucały brudny cień na wszystko, czego się tknęli.

Podaje także za ważny powód sprzeciwiania się nowatorstwu takiemu brak literatury religijnej w języku rosyjskim dla katolików — twierdzi, że potrzebaby bardzo wiele czasu i pracy poświęcić na wytworzenie języka odpowiedniego dla oddania wszystkich subtelnych odcieni teologicznych. O trudnościach tego rodzaju świadczą książeczki, wydane staraniem rządu, które musiano kilkakrotnie poprawiać, zanim wyszły bez błędów, tyczących się pojęć katolickich. Nakoniec ks. Gagarin oświadcza, że pragnie wprowadzenia języka rosyjskiego do kościoła rzymsko-katolickiego, ale jednocześnie z ogłoszeniem wolności sumień, bo nie wątpi, iż w takim razie bardzo wielu Rosyan przyłączyłoby się do tegoż kościoła.

Śmiało więc rzec można, że samym Moskalom zawdzięczamy usunięcie na bok sprawy wprowadzenia języka rosyjskiego do nabożeństwa katolickiego; za ich pośrednictwem Ojciec św., objaśniony dokładnie o położeniu rzeczywistem, odmówił stanowczo przyzwolenia na zachcianki rządu moskiewskiego. Prace O. Martinowa i O. Gagarina, nacechowane miłością, tem większe miały znaczenie.

Ze swej strony rząd rosyjski lęka się wprowadzenia nowatorstwa bez współudziału stolicy apostolskiej, dla tego prasa śmiało zapewnia, że o wprowadzeniu języka rosyjskiego do nabożeństwa katolickiego w krajach południowo-zachodnich nie może być mowy i wszelkie pogłoski w tym rodzaju nie mają podstawy.

Oprócz powyższego kościołowi rzymsko-katolickiemu w cesarstwie rosyjskiem inne jeszcze groziły niebezpieczeństwa.

Nasamprzód radykalizm miejscowy ukuł plan stworzenia wzorem starokatolików kościoła słowiańsko-katolickiego, niezależnego od papieża rzymskiego, rządzonego przez synod i kolegium. Chodziło tylko o zjednanie dla swego dzieła dwóch biskupów, którzyby mogli wyświęcić nowych pasterzy i kapłanów, mających zastąpić tych, którzyby na oderwanie od stolicy apostolskiej nie przystali.

Projektodawcy nie wahali się posługiwać podstępem na wzór Siemiaszki, wyłudzać podpisów fałszywemi pozorami, i t. p. Udała się sztuka raz jeden, dla czego nie miałaby się udać drugi raz?

Radykaliści lękali się tylko oporu kobiet i księży, liczyli zaś na zobojętnienie ogólne mężczyzn dla religii.

Kobiety „fanatyczne“ i księży miano usunąć z kraju.

Na wszystko znaleźć można radę, gdy się nie przebiera w środkach.

Plan ten nie zstąpił z góry, ale wylągł się na dole i spełzł na niczem; grunt okazał się niedość jeszcze przysposobiony.

Naturalnie kościół słowiańsko-katolicki pozbawiłby się dobrowolnie sił żywotnych i trwałości, o którą moce piekielne się rozbijają, a stałby się narzędziem państwa i zlałby się wkrótce z prawosławiem.

Naiwni radykaliści sądzili tak samo, jak nasi pozytywni, że spróchniały tron papiezki sam się wali pod własnym ciężarem, że lada fala go obali; tymczasem dzieje się przeciwnie, a właśnie owe burzliwe fale wzmagają siły i utrwalają potęgę nawy kościoła.

Próbowano jeszcze trzeciego sposobu podminowania katolicyzmu w krajach południowo-zachodnich, a sposób ten był następujący:

Wykształcony ksiądz czeski, dr. Dudik, wracając z wycieczki naukowej do Szwecyi, wstąpił do Petersburga — tam zaproponowano mu, aby przyjął biskupstwo w Wilnie, ponieważ rząd mianowałby chętnie na wakujące katedry słowian wszelkich narodowości — oprócz Polaków.

Ks. Dudik, nieznający dokładnie położenia rzeczy, przyjął ofiarowaną godność pod niektóremi warunkami, któremi — jak sądził — przysłuży się sprawie kościoła. Rząd przystał na podane warunki i sprawa powędrowała do Rzymu.

Okoliczność ta na pozor mogła wydawać się w oddali nieszkodliwą sprawie religii, a jednak papież odrzucił ją stanowczo, przewidywał bowiem, że społeczeństwo katolickie patrzeć będzie z nieufnością na cudzoziemca, i o owej miłości między pasterzem a owieczkami, będącej podwaliną chrześciaństwa, mowy być nie może.

Przychodzi nam mimowoli na myśl, dla czego odmówionem zostało rządowi rosyjskiemu to, c o u z y s k a n o g d z i e i n d z i e j?...

Czyliż okoliczność tę trzeba zapisać na karb szczęścia wielkiego męża stanu, czy na fatalność, ścigającą zachodnie kresy naszej ojczyzny?...

Chcemy wierzyć, że stało się to pod naciskiem konieczności.

O niebezpieczeństwach, wynikających z potwierdzenia ks. Dudika na biskupstwie wileńskiem, ostrzegł ojca św. artykuł św. p. ks. Waleryana Kalinki, drukowany w „Czasie“ krakowskim, autor wykazał lekkomyślność Czecha, podejmującego zadanie tak trudne bez zbadania położenia rzeczywistego rzeczy, i przyjmującego wszystkie objaśnienia od Moskali z dobrą wiarą; przewidywał, że kraje słowiańskie dostarczą rządowi rosyjskiemu księży zaprzedańców, tak, jak dostarczyła ich Galicya dla dyecezyi chełmskiej. W każdej, choćby najświętszej sprawie, znajdą się zdrajcy.

Ibrang - Hoihsthohl.

(Z kartek szukającego ideałów.)

(Ciąg dalszy).

Zlazł więc wuj Edward szczęśliwie z wieżycy, nie łamiąc żadnej kostki, nie obrywając ani jednego guza. Cóż z tego? Lubo koścień ocalał — duch-biedak silnie był stłuczony. Skoro się wujaszek znalazł już na dole, uczuł smutek i czczość rozpaczliwą w sobie — bo nie tak to

łatwo żegnać się z iluzyami i widziadłami. Machnął ręką, zaśmiał się przeraźliwie, że aż żaby rotami skoczyły do wody — ale następnie począł płakać. Dwa zdroje, wytrysłe ze źrenic wuja Edwarda, poczęły sączyć po ziemi i dwiema cienkiemi wstążeczkami popłynęły ku wodom strumienia. A wody Szauru, napełnione goryczą łez tych krwawych a piekących, poczęły mienić się w ciemnych, atramentowych tyntach — przybierając barwę żałoby i bolu. Wujaszek, pragnieniem pożerany palącem — pragnieniem choć jednej jedynej chwili szczęścia i wypoczynku duszy — rozciągnął się nad brzegiem wartkiego strumienia i łapczywie pić począł wodę wraz ze łzami, świeżo uronionemi.

I pił on długo — pił piołun łez własnych serdecznych bezdenny — a byłby nadaremnie wyczerpał wszelką wodę Szauru dla ugaszenia pragnienia i żalu. Bo teraz oto począć się miał okres nieskończonych męczarni dla wuja Edwarda. Teraz nastąpić miała kara za dwa najtrywialniejsze szaleństwa, jakich się dopuścił, pnąc się na wieżę za widziadłem i pijąc wodę ze zdroju czystego.

II.

Od owej fatalnej nocy z dnia 19 na 20 października 1878 r. wuj Edward zmienił się nie do poznania. Stracił on całą równowagę i cały spokój umysłu. Zmieniał miejsca pobytu i zatrudnienia, którym się poświęcał, jak stara histeryczka przyjaźnie, afekta i spowiedników. Oddawał się wszystkiemu, probował wszech dróg i sposobów zabicia czasu i życia — ale nic go już naprawdę nie zajmowało, nie cieszyło. Gdziekolwiek się zwrócił wujaszek, cokolwiekbądź poczynał — myśl jego była na wieżyczce Danielowego grobowca — a w ustach czuł gorycz piekielną łez wypitych z wodami sinego strumienia. W zimie 1880 r. widzimy bohatera naszego w kawalerskiej stancyjce, na jednej z ulic tuż obok Newskiego Prospektu w Petersburgu.

Noc zapada — wujaszek chodzi niespokojnie po pokoju — w którym pląsają swobodnie a lekkomyślnie dwie białe myszy i szczur chiński, czarnogłowy. Zegar bije dziewiątą, a równocześnie daje się słyszeć w sieni głos dzwonka, silnie a dokładnie naciśniętego.

Wuj Edward spieszy drzwi otworzyć — a do pokoju wtacza się olbrzymia, jasna, wesoła, uśmiechnięta, wybornie wyglądająca baryła. Ochrzcijmyż ją mianem pana Stanisława. Wielkie to a znakomicie prosperujące ciało sapnęło harmonijnie, splunęło i zasiadło ostrożnie na kanapie, miejscami przez myszy białe i szczura chińskiego nagryzionej.

„Co robisz?“

„Zdycham zwolna — a ty?“

„Trawię w najlepsze. Byłem na obiedzie u Sałatjewa. Nie uwierzysz — dał dzisiaj krewety, turbota i polędwicę! Dla czegoż nie przyszedłeś?“

„Szczęśliwa istoto, której żołądek jest chwilowo grobowcem zwłok tylu stworzeń — skorupiaków, ryb i zwierząt ssących! Nie mogłem przyjść do Sałatjewa, bo żołądek mój trawi od dawna już tylko boleść, żółć i łzy skrycie połykane....“

Stanisław błogo się uśmiechnął i rzekł następnie z cicha:

„Dziękuję za tego rodzaju jadłospis. Wolę jeść krewety i roastbeef. Nie dla tego, abym uważał, że jest to szczytem abstrakcyjnego racyonalizmu i bezwzględnego szczęścia — ale koniec końców coż tu na tym planecie robić lepszego? Figura docet. Patrz na siebie, a na mnie.“

Wuj Edward uchwycił i gorąco ścisnął pulchną dłoń przyjaciela.

„Masz słuszność zupełną, kochany Stasiu. Nie ma chwili, w którejbym po tysiąc razy nie przeklinał swego idyotyzmu, który zmusza mnie, abym pamiętał, czuł i myślał. Co jednak począć, aby pozbyć się najfatalniejszego tego kretynizmu?“

„Rób tak jak ja. Bądź zawsze i wszędzie jedynie spokojnym widzem — nigdy zaś rzucającym się aktorem farsy życiowej. Voilà tout.“

Ale wuj Edward wzdrygnął tylko wymownie ramionami, wyrażając całą niemoc swą nikczemną. Kto raz popełnił szaleństwo drapania się na wieżę za manekinem od czepków — temu nie wspinać się już na wyżyny zasad p. Stanisława.

Zegar wybił godzinę dziesiątą. Wuj Edward drgnął, pobladł i wyjęknął:

„Już czas!“

Następnie postąpił kilka kroków, udając się w sam południowo-wschodni róg pokoju. Tutaj stała dość duża szafa z potężnem żelaznem okuciem. Wujaszek Edward wydobył z kieszonki od kamizelki mały misterny kluczyk, a otworzywszy nim szafę, wszedł do jej wnętrza i z łoskotem zatrzasnął drzwi za sobą, pozostawiając klucz na zewnątrz.

P. Stanisław siedział nieruchomie na kanapie, wytężonym wzrokiem śledząc ruchy wielkiej wskazówki ściennego zagara — a następnie znów całą siłę słuchu kierując ku szafie.

Zrazu zapanowała w szafie i pokoju cisza duszna, grobowa — przerywana od czasu do czasu tylko piskiem czarnogłowego chińskiego szczura, co za białemi gonił myszami. Po kwadransie jednak dał się słyszeć z szafy oddech ciężki, przerywany — kurczowe granie i charkotanie piersi — a w końcu jęk coraz to nieznośniejszy, szarpiący nerwy. Całej grozy dantejskiego piekła było można dosłuchać się w tonach płucowej tej agonii — a na gładkiem, białem czole p. Stanisława duże, ciężkie krople potu występować poczęły, jak lśniące korale. Rzecz dziwna — ten żołądek miał widocznie duszę, co czuła i cierpiała wespół z wujem Edwardem i jego płucami.

Charkot i rzęrzenie w szafie w coraz to więcej przeraźliwe, rozdzierające przechodziły tony. Tak chyba tylko na wyschłych piszczelach grać umieją strzygi i letargniki z Holbeinowskiego tańca śmierci i trupizny. Blada a tłusta twarz Stanisława poczęła tęczowemi mienić się kolory — dłonie jego trzęsły się febrycznie, bezwiednie trąc sukno nadjedzonej przez myszy kanapy. Teraz ostatni jęk urwany.... ostatni dźwięk pękniętej struny..... potem głuchy łoskot padającego ciała... wreszcie znów cisza snu wiecznego zapanowała w szafie i pokoju.

A Stanisław, na równe zerwawszy się nogi, nacisnął na klucz wieka, kryjącego żywego nieboszczyka. Ciało bezwładne wuja Edwarda wypadło ze szafy na podłogę, z ust jego sączył cienki sznurek krwi czerwonej, co z pod samego płynęła serca. Zegar wybił godzinę pół do jedenastej.

Stanisław jął się energicznie cucić Edwarda. Poczciwy zdrowy żołądek ratował wszelkiemi siły i sposoby tę chorą duszę, to zbolałe serce.

Wuj Edward zwolna począł wreszcie powracać do życia i przytomności. Przebywszy wszelkie zwykłe stadya miłego tego „powrotu“, wsparty na ramieniu p. Stanisława, przeszedł się kilka razy po pokoju, a następnie nalał sobie z długiej a cienkiej butelki pełną szklankę płynu jakiegoś o nieopisanym kolorze. Wychyliwszy ją do dna, wyszeptał z cicha:

„Gińcie, wymoczki — trujcie się, bakterye — przepadajcie, larwy i potworki podwodne. Dość ja was nałykałem w przeklętej wodzie perskiego strumienia — ale wytępię was przecież do szczętu — choćbym miał zmarnieć wraz z wami!“

Wujaszek mimo przebytych męczarni duszenia się w hermetycznej szafie, miał teraz oblicze pogodne, opromienione aureolą nadziei zwycięztwa — bo czuł on dobrze, że w skutek zupełnego braku kwasorodu marły w szafie złowrogiej kolejno owe legiony niezliczone monstrów obrzydliwych, które połknął niegdyś, pijąc wodę Szauru, ze łzami zmieszaną.

Dopóki potwory te pokutowały we wuju Edwardzie — nie mógł on występować na świat jasny i przestronny. Trzeba było żyć odciętym od wszystkiego — nawet i powietrza. Wujaszek uciekać musiał od ludzi — bo zgubne bakterye, fermentujące w jego wnętrzu, mogły były zatruć niebacznych, coby się do niego zbliżyli.

Jeden tylko żołądek p. Stanisława mógł ostać się przed niebezpieczeństwem towarzystwa wuja Edwarda i wewnętrznych jego monstrów. On strawić zdołał wszystko bezkarnie i bez szwanku dla siebie dopomódz wujaszkowi w niebezpiecznej kuracyi.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Wiadomości literackie, artystyczne i rozmaitości.

Pan Maryan Dubiecki ukończył swoję „Historyą literatury polskiej“, wydawaną zeszytami. Dzieło obejmuje dwa obszerne tomy, a porównując je ze znanemi, dawniejszemi tego rodzaju pracami różnych autorów, znajdujemy w niem wiele ciekawych, cennych, zajmujących, nowych szczegółów, sąd o rzeczy wytrawny a bezstronny, oparty na gruntowych studyach tak dawniejszych, jak nowszych pisarzy. Autor doprowadził swą pracę do ostatnich czasów, obejmuje ona zatem i współczesne, najnowsze piśmiennictwo. Dzieło kończy alfabetyczny spis autorów, wśród których spotykamy wiele nazwisk zasłużonych, a pominiętych zupełnie w znanych dawniejszych podręcznikach literatury.

„Echo muzyczne“ podaje w ostatnim swym numerze portret Maryi Rodziewiczownej, która, nieznana jeszcze przed niedawnym czasem, zdobyła sobie w ciągu ostatnich trzech lat głośne imie nowelistki i sympatyą wielkiej liczby czytelników. Pierwsza jej powieść: „Straszny dziadunio,“ została premiowana na konkursie Świtu r. 1886. Dalej ukazały się kolejno: „Farsa panny Hani“ w Świcie, r. 1886 — „Dewajtis“, powieść, uwieńczona na konkursie Kuryera warszawskiego r. 1888 — „Między ustami a brzegiem pucharu“ w Życiu 1888 — „Kwiat lotosu“, powieść świeżo ukończona w Kłosach i wreszcie „Złota dola“, której druk rozpoczął Tygodnik ilustrowany. Siła, zapał, werwa młodzieńcza, wiara w szlachetność, w miłość prawdziwą i wierną, w ideały piękna i dobra, w zwycięztwo prawdy nad fałszem i obłudą, a ponad to wszystko miłość Boga i ojczyzny — oto główne charakterystyczne znamiona wydanych dotąd prac Maryi Rodziewiczównej i one to może sprawiają, że prace te czytelnika żywo zajmują, wzruszają, porywają nieomal.

Nowa opera J. Massenet'a p. t. „Esclarmonde“, zapowiadana od dawna, ukazała się wreszcie w maju r. b. w Paryżu w „Operze komicznej,“ ale nie zrobiła silniejszego wrażenia, ani doznała przyjęcia, jakiego się jej twórca i jego wielbiciele spodziewali. W utworze widać pospieszną pracę, silenie się na efekta, niewolnicze prawie naśladownictwo Wagnera obok braku natchnienia. W całości są jednak pojedyńcze fragmenta, napisane z talentem, właściwym mistrzowi. Treść jest pełną dziwactw i kapryśnej fantazyi.

Teatra paryzkie w smutnym znajdują się stanie od chwili otwarcia wystawy, którą się publiczność tak miejscowa, jak zagraniczna ponad wszystko zajmuje. Z tego to powodu dyrektorowie teatrów zrobili podanie, aby podobnie, jak w 1878 r., zamykano wystawę o godz. 6-tej z wieczora, ale odmowną od zarządu odebrali odpowiedź. Utrzymują, że obojętności względem teatru winien też wiele repertoar, niepodający nic nowego, ani zajmującego. Stara sztuka Augiera, „Maître Guerin“, melodramat Ponsarda, „Karolina Corday“ i znana w całym świecie „Dama kameliowa“ nie są zdolne zwabić publiczności. Najwięcej stosunkowo ściąga do Gymnase „Teściowa“ Sardou i do Ambigu „Roznosicielka chleba“, melodramat, przesiąkły sztuczną grozą i naciąganemi efektami.

Lucca śpiewała w ostatnim czasie w Amsterdamie bez powodzenia, zarzucono jej sforsowanie głosu zwłaszcza w wyższych tonach.

W Warszawie dano dwa przedstawienia baletowe dla przebywającego tamże szacha perskiego: w Teatrze wielkim i w Łazienkach.

W warszawskim salonie Krywulta otworzono wystawę prac znanego powszechnie humorysty-rysownika, Kostrzewskiego, zebranych z różnych stron od dzisiajszych ich posiadaczy. Wystawa obejmuje zatem długie lata działalności utalentowanego artysty.

Angielski, ilustrowany tygodnik: „The Graphic,“ podaje ciekawą wiadomość o galeryi obrazów przy kolegium Dulwich, 5 mil oddalonem od Londynu. Galerya ta przeznaczoną była pierwotnie dla Warszawy, a tygodnik angielski tak o niej pisze: Przy starem kolegium, zbudowanem w Dulwich r. 1814, istnieje galerya obrazów, łącząca się z gmachami szkolnemi. Większa część zgromadzonych tam obrazów przed r. 1807 należała do zbioru sławnego handlarza obrazów, Noela Józefa Desenfans, wysłanego przez Stanisława Augusta, króla polskiego. Zbiory te przeznaczone były do uzupełnienia galeryi narodowej w Warszawie, ale zaszłe w kraju klęski przerwały dalszą czynność w tym kierunku. Po śmierci Stanisława Poniatowskiego obrazy pozostały w ręku ich zbieracza.

O Noelu Desenfans dowiadujemy się, iż, urodzony r. 1745, wychował się w domu podrzutków. Mając około 30 lat, przybył do Londynu, jako nauczyciel języków. Lubownik sztuk pięknych, udawał się na każdą licytacyą obrazów, a zakupując, co zdołał i ile zdołał, sprzedawał je następnie z korzyścią, nabywał nowe i tym sposobem zbogacił się, zgromadziwszy wspaniałe zbiory, które, umierając, pozostawił przyjacielowi swemu, Franciszkowi Bourgeois. Był on synem zegarmistrza Szwajcara, zamieszkałego w Londynie. Okazując za młodu wiele zdolności do malarstwa, kształcił się pod sławnymi mistrzami i wkrótce wsławił się, jako malarz scen wojennych, widoków morskich i krajobrazów.

Przez pewien czas był nadwornym malarzem króla Stanisława Poniatowskiego. Otrzymawszy szlachectwo od króla Jerzego III, został r. 1793 członkiem akademii londyńskiej. Zbiory swoje ofiarował Bourgeois kolegium w Dulwich i przeznaczył znaczne fundusze na ich utrzymanie, jako też na rozprzestrzenienie gmachu, obejmującego galeryą obrazów. Galerya ta obejmuje 380 obrazów pędzla pierwszorzędnych w świecie mistrzów, jak: Rafael, Murillo, Rembrandt, Rubens, Ruysdael, Holbein, Van Dyk, Poussin i wielu innych. Bourgeois umarł r. 1811 wskutek spadnięcia z konia — pochowany obok przyjaciela swego Desenfans w grobowcu obok galeryi obrazów.

Osiedlony w Maryenbadzie rodak nasz, dr. Dobieszewski, przepędził całą ostatnią zimę w Paryżu. Przekonawszy się o skutecznej działalności wód tych czeskich, zapragnął zapoznać z niemi kolegów swoich w stolicy Francyi. W tym celu sprowadził 700 butelek wody z rozmaitych maryen-

badzkich źródeł i oddał je trzem szpitalom: Codrin, Necker i Hôtel Dieu, gdzie mu powierzono znaczną część chorych. Wkrótce skuteczność wód maryenbadzkich uznaną została. Następnie napisał dr. Dobieszewski w Paryżu rozprawę p. t. „Recherches sur l'influence des eaux de Marienbad sur la nutrition, la digestion et la circulation, faites dans les hopitaux de Paris.“ Rozprawa ta zajęła w wysokim stopniu świat lekarski w Paryżu, zwłaszcza, że dr Dujardin-Baumetz przedstawił zawarte w niej sprawozdanie paryzkiej akademii medycznej, uważanej za wyrocznię nietylko we Francyi, ale i zagranicą.

Promyki.

(Zebrała Zofia An).

Męzki czyn iść do sławy przez ogień kartaczy,
Lecz uciec od rozkoszy większe męztwo znaczy.

Ant. Górecki.

Biada tej ziemi, gdzie ciepło słoneczne
Nic rozpromienić, nic rozgrzać nie zdoła;
Biada tym sercom, gdzie słowo serdeczne
Gorejącego echa nie wywoła.

Karol Baliński.

Żona uczciwa ozdobą mężowi
I najpewniejszą podporą domowi,
Na niej rząd wszystek, swego męża ona
Głowy korona.

Ona mężowym kłopotom zabiega,
I jego wczasu we wszystkiem przestrzega,
Ona wywabić troski umie z głowy
Słodkiemi słowy.

J. Kochanowski.

Marzenia nie ziszczą się nigdy!... Gdy miłość, do której tęschnimy, zdobędziemy wreszcie, jako szczyt pragnień naszych — jesteśmy niby szczęśliwi — ale nie jest to już owo szczęście, o którem marzyliśmy; gdyż anioł, którego widzieliśmy w krainach niebieskich, upadł!... a chociaż upadł w objęcia nasze, jest już tylko istotą ziemską, podobną nam. i kroczy przy boku naszym.

Soulié.

HUMORYSTYCZNE.

Nadesłała Marya Paruszewska.

Wierzyciel: — Ileż razy jeszcze będę zmuszony chodzić na czwarte piętro, aby wydostać od pana pożyczone mu pieniądze?

Dłużnik: — Czy pan myślisz, iż ja dla wygody swych wierzycieli przeniosę się na pierwsze piętro?

Majster: — Co tak rachujesz, chłopcze?

Uczeń: — Liczyłem właśnie, ile złośnic mieszka w naszym domu — otoż z panią majstrową aż sześć.

Majster rozgniewany: — Chcesz ty oberwać, niegodziwcze?

Uczeń: — Niech się pan majster nie gniewa, bo ja się omyliłem; bez pani majstrowej to tylko pięć.

Na balu: — Proszę pana, ktoż jest ta chuda, zezowata, o czerwonym nosie blondynka, co siedzi przy piecu?
— To moja córka.
— Taaak? jakaż to miła panienka!

Rozwiązanie łamigłówki

w n. 16 Domu polskiego.

1. Kolebka. — 2. Arab. — 3. Zwickau. — 4 Iwanoff. — 5. Mandana. — 6. Isar. — 7. Radegost. — 8. Zakopane. — 9. Buddaizm. — 10. Rzep. — 11. Odnowiciel. — 12. Dubienka. 13. Zecer. — 14. Inflanty. — 15. Nassau. — 16. Sezostrys. — 17. Kleparz. — 18. Joinville.

Kazimirz Brodziński. Abufar - Templaryusze.

Pomimo, iż przez pomyłkę nie zostało bliżej określonem, na co się składały podane pojedyncze wyrazy łamigłówki, dobre rozwiązanie nadesłali pp. Zofia Laskowska i Kazimirz Kerber ze Środy, Teofila Zielińska z Lublińca; Marya Adamska, Marya Łabendzińska i Edmund Konarski, prymaner, z Poznania.

Nagrodę otrzymała p. Zofia Laskowska.

Redaktorka Teofila Radońska w Poznaniu. — Czcionkami i nakładem drukarni Dziennika poznańskiego.